

ELŻBIETA LIPSKA

Ariana

Panjschanbeh – czwartek, 4 *dey* 1382 roku, dobrego roku. Fardin pomyślał, jak spokojnie żyli od *nouruzu*. Skąd taka myśl właśnie tego poranka? Ulotne myśli, pojawiając się rzekomo znikąd i zaraz znikając, odciskają piętno tu i teraz. Dobry rok, chwała Allahowi.

Skończył poranną modlitwę, ucichły modły muezzina płynące z meczetu. Z drugiej części domu dochodziły odgłosy porannej krzątaniny – to jego żona i matka szykowały poranny posiłek. W powietrzu unosił się nęcący zapach świeżego chleba. O, dzieci też wstały. Zaraz przybiegną, cała hałaśliwa czwórka – dwóch energicznych chłopców, dwie śliczne dziewczynki. Rosną zdrowo, chwała Allahowi, w nich jest przyszłość rodziny. Jego ulubienica, najmłodsza Nassim i jej nieodłączna lalka. „Wyglądają prawie jak bliźniaczki” – pomyślał. Lubił poranny rozgardiasz, narastające tempo rozpoczynającego się dnia. Spokój i stabilność, dzień po dniu.

Ich piętrowy dom zbudowany jak sąsiednie z glinianej cegły, z niewielkim zacienionym podwórzem, położony był w bocznej uliczce. Mieszkali tu od pokoleń, to ich twierdza, przystań, centrum ich świata. Teraz twardą ręką trzymała go matka, ale Shirin z łagodnością dbała o jego ciepło i elegancję, a dzieci wносиły niewyczerpaną energię, śmiech i, nie da się ukryć, bałagan.

Po śniadaniu pójdzie do sklepu. Prowadzą rodzinny interes, sprzedają piękne materiały od tkaczy z okolicznych wiosek. Niektóre są stemplowane w zamówione, indywidualnie projektowane wzory. Miękkie i delikatne, pięknie barwione, każdy niezwykły i jedyny w swoim rodzaju – dzieła sztuki, które mogły zadowolić gusta każdego klienta. Szale, chusty, obrusy, bogactwo kolorów i wzorów, ich serca i uczucia są wplecione w te wątki i osnowy.

Interes szedł coraz lepiej, przybywało przyjezdnych, więc handel był opłacalny. Przez lata zebrał dużą grupę dostawców rękodzieła. Czasem sam wybierał się do najbardziej odległych, trudno dostępnych wiosek. Niektórzy tkacze byli wiekowi i nie opuszczali swoich domów, nie mieli jak dotrzeć do miasta. Dbał o nich, byli mu bliscy, dostarczał im potrzebne materiały, robił zakupy. Zawsze miał czas, żeby usiąść, wypić herbatę, zapalić fajkę, porozmawiać o codzienności, poezji, świecie. Oni odwdzięczali mu się pięknymi wyrobami – razem tworzyli sztukę, która zachwycała klientów i niosła ich kulturę dalej w świat, daleko za horyzont.

No właśnie, najpierw sklep, a nocą pełni wartę w *Arg-e Bam* – nie może się spóźnić. To dodatkowe, szaczone zajęcie. Twierdza była dumą miasta – majestatyczna, kryła niezwykle historię. Praca w takim miejscu to wyróżnienie i rodzinna tradycja.

Zapowiadał się pracowity dzień. Pomimo pośpiechu wszedł na chwilę do meczetu, żeby na dziedzińcu zamienić kilka słów ze znajomymi. Dobrze zrobił, dowiedział się o nowym dostawcy obrusów, który przeniósł swój zakład z Yazdu.

Kassim był akurat na miejscu, umówili się, że po południu odwiedzi go w sklepie. Miał nosa, rano zawsze było tutaj gwarno, a informacje i okazje były świeże jak poranny chleb i równie szybko się rozchodziły.

Potem bez końca analizował, czy w tamtej chwili niczego nie przeoczył, czy nie umknęła mu jakaś nerwowość wśród obecnych w meczecie? Większe niż zwykle podekscytowanie? Pospieszne załatwianie spraw i interesów? Zamaszystość gestów w rozmowie? Zbyt natarczywe poklepywanie po plecach? Ale nie, wszystko szło utartym torem, identycznie jak co dzień, żadnych odstępstw od rutyny.

No może, bardzo może, tysiące myśli potem, może nieco większy kurz, jakby wzbijany nie tylko przez uliczny ruch, ale zwielokrotniony. Może słońce nie tak jaskrawe jak wczoraj. Może ptaki, które bardziej gorliwie podrywały się do lotu, aby pospiesznie opuścić dolinę. Gdyby człowiek pochłonięty codziennością zwracał uwagę na dyskretną mowę natury, pulsujący znakami język świata, może mógłby coś zrobić, wrócić do domu, zabrać rodzinę i uciec jak najdalej? Tylko skąd miało przyjść to przecucie, jakie okruchy miały się złożyć w impuls do działania i czy to, co mógłby zrobić, byłoby wystarczające? Wszystkie te pytania pozostały jak otwarte okna.

Mimo pokusy nie zasiedział się na podwórzu meczetu, musiał przygotować sklep na przyjście klientów. Jak zwykle wkrótce pojawi się tłum, kupujący nie mogą czekać, bo odejdą do konkurencji. Otworzył szeroko drzwi, wpuścił do środka świeże powietrze. Jego królestwo tkanin – ich delikatne faktury, feeria barw wszystkich odcieni pastelowej tęczy – piętrzyły

się na półkach aż po sam sufit. Żywe kolory – intensywna czerwień i słoneczny żółcień, świeża zieleń i morski błękit, promienna fuksja i krwisty szkarłat – wszystkie odcienie, jakie wymyślili natura i człowiek. Niebieski zestawiony z intensywnym różem, brąz w połączeniu z pomarańczą, zielenią i żółcią, fiolet na brązowym i cielistym tle, ombra i brąz – to one dziś przyciągnęły jego wzrok. Świeże i beztrioskie, intensywne jak ten poranek.

Wciągnął głęboko powietrze. Czy pachniało inaczej niż zwykle? Może było bardziej gęste? Czy wyczuwało się w nim napięcie? Czy coś odróżniało go od wczorajszego dnia? Nie, nic, żadnych znaków, analizował to po stokroć, szukając jednego zwiastuna, wskazówki, która dostrzeżona w porę dałaby szansę ocalenia.

Zajął go codzienne obowiązki. Wystawił na zewnątrz najczęściej kupowane materiały, wygładził drobne zagniecenia z czułością znawcy i konesera piękna. Nie mógł się powstrzymać przed dotykiem, musiał poczuć pod palcami ich idealną fakturę, chłodną doskonałość, dowód perfekcji wykonania. Znał się na tkaninach jak nikt, od dziecka uczył się rozumieć ten fach. Był pewny swojej wiedzy, stały za nią pokolenia. Uśmiechnął się do siebie – zobaczymy, z czym przyjdzie Kassim. Miał przeczucie, że to będzie dobry dzień.

Arg-e Bam – twierdza i cytadela, duma, historia i dziedzictwo. Powstała dwa i pół tysiąca lat temu, w czasach Achemnidów, w dolinie między pasmami gór Kafut i Jebal-e Barez, za którymi rozciągała się śmiertelna pustynia Lut. Oaza peł-

na wody, karawanseraj na jedwabnym i bawełnianym szlaku, siedziba gubernatora i ośrodek handlu, otoczona systemem fortyfikacji, całe tętniące życiem miasto.

Dwa i pół tysiąca lat, trzydzieści tysięcy miesięcy, milion dni, ile minut, sekund, atomów chwil, czasów pokoju i wojny, szczęścia i rozpacz, narodzin, życia i umierania, wschodów i zachodów słońca, ścieżek ludzkich losów schodzących się tutaj i rozchodzących po szlakach jedwabiu i bawełny, kłębiących się w tym właśnie miejscu – niepoliczalny czas, tak długi, że niewyobrażalny. A twierdza była jego dowodem, czyjeś umysły ją wymyśliły, a pracowite dłonie i silne ramiona wybudowały. Suszone w palącym słońcu cegły ułożono w świątynne mury, domy i place. Wypełniała ją energia ludzi, szybkie tętno i prędkość handlu, dawała schronienie, bezpieczeństwo i utrzymanie, przechodziła okresy rozkwitu i kryzysy, i trwała, od tysięcy lat.

A on, Fardin, jeden z miliona, ziarenko piasku w dziejach tego miejsca, mógł służyć jej swoją pracą, kochać ją i otaczać troską, był częścią tej historii, która trwała, trwa i będzie trwać – niezniszczalne ognisko splatające miliony dróg świata i czasu. To właśnie czuł za każdym razem, przekraczając mury twierdzy. Niezmiennie ulegał magii jej potęgi i trwałości.

Ruszył na wieczorny obchód. Pod ciemnym, gwiazdowym niebem minął bazar i doszedł do zabudowań. Zatrzymał się na chwilę i przysiadł w arkadach, przy wejściu do jednego z budynków. Po prawej stronie rozciągał się rząd sklepionych ostrołukowato podcieni, nad nimi górował dostoyny pałac gubernatora, na lewo była mieszkalna część miasta z doma-

mi, łaźniami, szkołą i położonym nieopodal meczetem. Przy-
mknął oczy.

Niepostrzeżenie zmorzył go sen. Czy to intensywne tem-
po dnia, czy spokój i cisza tego miejsca albo bezchmurna noc
lub poezja w jednej chwili ukołysały go do snu.

Czas czyha jak rozbójnik,
pilnuj się przed nim szczerze!
Czego nie zabrał dzisiaj,
jutro niechybnie zabierze.

Hafez

Która była godzina? Jeszcze panowały ciemności. Powi-
nien się pospieszyć, niedługo poranna modlitwa, świt i koniec
służby, będzie mógł wrócić do domu. Rozejrzał się dookoła,
nie dostrzegł najmniejszego ruchu, cały świat zatrzymany
w kadrze jak martwa natura. Na powrót wybrał okrężną dro-
gę przez część mieszkalną, aby dokończyć obchód. Z otwar-
tej przestrzeni placu wszedł w wąskie uliczki, kluczył nimi,
zmierzając do strażnicy. Otaczający go bezruch pochłaniał
wszystko, trwał jak wstrzymywany oddech, spokój i cisza,
przerywane jedynie odgłosem jego kroków.

Ze ściany mijanego budynku osunęła się strużka piasku,
nawet dwie. To złudzenie, jeszcze się nie obudził się. Potrzą-
snął głową i ruszył dalej. Nie, jednak nie – w kolejnym też.
Puścił się biegiem, ale w ułamku sekundy poczuł jak ziemia
unosi się pod jego stopami. Niemożliwe, to niemożliwe, to
tylko straszny sen. Nie zdążył zrobić kolejnego kroku, gdy
wszystko wokół zaczęło się walić – ściany, przejścia, sklepie-

nia, podcienia, wszystko osuwało się, przewracało, sypało na niego.

Upadł na chodnik, czuł przenikający go straszny ryk drżącej ziemi, zdążył ochronić rękami głowę, gdy przysypał go piach z osuwających się ścian. Coś dużego upadło tuż przed nim – to drewniane drzwi z sąsiedniego budynku, który stał tu jeszcze przed chwilą. Bezwiednie podczołgał się do nich, szukając ochrony przed walącymi się budynkami. Kątem oka dostrzegł, jak wyżej zapadają się wieże pałacu.

To koniec świata. Już nie było nieba, nie było ziemi, nie było powietrza, wszędzie tylko gruz, piach i pył. Coś ciężkiego uderzyło go w udo. Nie mógł złapać oddechu ani otworzyć oczu, nie mógł ruszyć nogą. Ogłuszający huk spod ziemi nie miał końca. Pył zasypał mu twarz, wypełnił oczy, nos, usta. Nic nie widział, serce waliło mu jak oszalałe. Zdążył jeszcze pomyśleć, że to koniec. Stracił przytomność.

Nie wiedział, jak długo tam tkwił. Poczul rytm swojego serca. Ustał ryk ziemi. Nie mógł się ruszyć. Usta i nos miał wypełnione pyłem, który z każdym płytkim oddechem wciśkał się coraz głębiej. Zaczął kaszleć. Zostało trochę powietrza, bo masywne drzwi nie ustąpiły pod naporem glinianego osuwiska. Panowała ciemność. Poruszył rękami, chyba był cały. Coś lepkiego i ciepłego spływało mu z czoła. Powoli unióśł głowę, z trudem otworzył oczy, zaczął łzawić, ale dzięki temu mógł widzieć. Daleko przed sobą – jak w tunelu – dostrzegł światło dnia.

Ratunek. Bardzo powoli, nadludzkiem wysiłkiem zaczął się przesuwać w tamtą stronę. Odgarniał gruz garść po garści.

Odsuwał go od siebie, przesuwał w tył. Czołgał się do prześwitu. Ale każdą szczelinę natychmiast wypełniał piach, odcinając drogę ucieczki. Prześwit zniknął, zapadła ciemność.

Ocknął się, gdy poczuł, jak coś ciężkiego zsuwa się z niego. Znów sypanął się piach, aby zamknąć ostatnie przestrzenie i zabrać resztki powietrza. Wydało mu się, że drzwi, pod którymi leżał, drgnęły. Jeżeli go przygniotą, zginie. Oby to było złudzenie. Ciężko oddychał powietrzem wymieszanym z gęstym pyłem.

Wtem ciemności od góry przebił mały promyk światła, potem kolejny. Pojawił się otwór. Wróciła nadzieja, ostatnia szansa. Nawet nie zauważył, że ziemia przestała drżeć. Szaleńczo, ile sił w potłuczonym ciele zaczął rozgarniać pył, byle do światła, byle do powietrza, byle do domu. Nadludzkiem wysiłkiem, powoli zdołał wydostać się na powierzchnię. Był poturbowany, ale cały. Mógł oddychać, mógł patrzeć, mógł iść. Ocalał.

Rozejrzał się wokół. Z jego ukochanej twierdzy zostały ruiny. To, co było ostoją, niezniszczalne, obecne od zawsze, fundament świata, w jednej chwili zostało zrównane z ziemią. Z misternej pracy tysięcy ludzi zostały ruiny i piach. On – drobny, kruchy tryb w maszynie, cudem ocalał w jej wnętrzu, a ona – dumna, majestatyczna, wieczna, przepadła.

Dom – pomyślał. Musi dotrzeć do domu, natychmiast. Do Shirin, do matki, do dzieci. Rodzina – nic innego nie miało znaczenia, tam z nimi będzie bezpieczny. Ruszył przed siebie. Najpierw powoli, brnąc pośród ruin. Drogi, którą tutaj

przyszedł, już nie było, musiał przedzierać się przez zwały gruzu, kamieni i zawalisk, byle w dół, byle do nich, natychmiast.

Nie rozglądał się na boki, i tak nie rozpoznałby mijanych miejsc, które znał od zawsze, tu były jego korzenie, *hic et nunc*. Nie zdawał sobie sprawy, że w krótkiej chwili piekła przestała istnieć nie tylko wieczna *Arg-e Bam*, ale w otchłani pyłu zniknął cały jego świat, nic już nie będzie takie jak wczoraj i we wszystkie poprzednie dni jego życia.

Krwawił, krew z rany na głowie zalewała mu oczy, z trudem łapał powietrze, czuł jakby wdychany pył betonował mu płuca, z trudem szedł, poturbowane udo bolało go coraz dotkliwiej, ale nie zwracał na to uwagi. Musi dotrzeć do domu, musi. Tam są jego bliscy, tam będzie bezpieczny, w domu wszystko będzie inaczej, koszmar zniknie.

Ale przebudzenia nie było. Ich dom nie istniał, pozostał po nim tylko pył. Kiedy wspiął się na gruzy, zobaczył ich okno – futryna i poszarpana firanka. W oknie widniała lalka, a obok leżał tomik poezji. Tyle pozostało z jego świata. Znowu stracił przytomność.

Z raportu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża:

„Rano 26 grudnia 2003 r. o godz. 5.28 trzęsienie ziemi o sile 6,51 stopnia w skali Richtera nawiedziło miasto Bam w prowincji Kerman w południowo-wschodnim Iranie. Było to jedno z najpłycej zlokalizowanych trzęsień w historii, z epicentrum wstrząsów zaledwie 10–12 km pod powierzchnią ziemi. W Iranie, który jest uważany za czwarty najbardziej

narazony na zjawiska sejsmiczne kraj na świecie, było to najtragiczniejsze trzęsienie ziemi od ponad dekady.

Miasto z ponad 2500-letnią historią, słynne *Arg-e Bam*, w kilka chwil zostało niemal doszczętnie zniszczone. Według danych przekazanych przez irański rząd, zginęło 29 878 osób, 22 628 zostało rannych. 25 000 z 29 500 budynków zostało całkowicie zniszczonych. Populacja Bam przed trzęsieniem wynosiła 90 000 osób, kolejne 25 000 mieszkało w okolicznych miejscowościach.”

A jednak –

New York Post, 28.12.2003:

Yekshanbeh, niedziela, 7 *dey* 1382, po godzinie 18: „37 godzin od trzęsienia ziemi. W ruinach zawalonego domu znaleziono dziecko. Żywe. To dziewczynka – brązowooka Nassim. Dziecko łkało cicho w objęciach nieżyjącej matki. Dziewczynka była cała i zdrowa, chociaż głodna i wychłodzona.”